



Józef Ignacy Kraszewski
(1812 — 1887)

Stara baśń (1876)

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą otaczającą widnokrąg dokoła. W powietrzu czuć było woń liści i traw młodych, zlanych rosą świeżo w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiątych pączków rozwitych. Nad strumieniami wezbranymi jeszcze resztką wiosennej powodzi złociły się łotocie jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza — tylko ptastwo zaczynało budzić się w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słychać było świergot i świsty, i nawoływania drobnej druzyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściło i umilkło... Stado dzikich kóz wyrzało z gąszczy na polankę, popatrzało czarnymi oczyma i pierzchnęło... Zatętniało za nimi — cicho znowu. Z drugiej strony słychać łamiące się gałęzie, zaszeleścił łoś rogaty — wyrzał, podniósł głowę, powietrza pociągnął chrapami — zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i z wolna poszedł w las nazad... I znowu słychać było łom gałęzi i ciężkie stąpanie. Spod gęstych łoż zaświeciło oczów dwoje — wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż poza nim, położywszy uszy pierzchną przelękły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko z dala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszczy rozeznac mogło szmer brzozy z listki młodymi, drzenie osiczyny bojaźliwe, skrzywienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelsty. Szedł wiatr, stąpając po wierzchołkach puszczy i głośniej coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury jak dziewczęta, które się ze snu zerwały zbudzone i uciekały, czując, że obcy pan nadchodzi. Szare zrazu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu; obłoczki białe jak z rąbku obsłonki pościeli rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami

i łąkami jak dymy ofiarne zakipiały pary przejrzyste, ulatując z wolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniało, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków — wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki — wracało życie. W promieniach wirowały, zwijały się, kręciły niespokojne skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocąc do siebie, do chmur i do lasów. Kukułki odezwały się z dala, dzięcioły kowale już kuły drzewa. Był dzień.

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień schował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi niby szalaś naprędce sklecony; kilka kołków wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok tuż było wygasłe ognisko spopielałe i kilka w nim niedopalonych głowni. Poniżej, w zielonych bujnych trawach, na sznurach do kołów poprzywiązywanych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najeżonym jeszcze zimowym włosem okryte konie. Szelest jakiś w lesie znać je nastraszył, poznały nieprzyjaciela, nastawiły uszy, rozdęły chrapy, zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię, jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten dziki głos, który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką.

[J.I. Kraszewski, *Stara baśń*, oprac. W. Danek, Zakład Nar. im. Osolińskich, Wrocław 1975, s. 3-4]